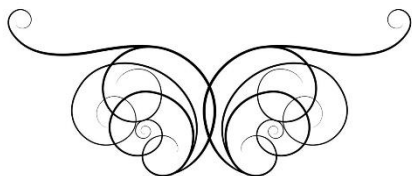


sracz, jak kto woli – powiedział. Wszyscy popatrzyli po sobie i analizowali w myślach to, co usłyszeli, a cisza długo trwała niczym niezmaczona. Pan A dumny z siebie jak paw obserwował zdziwienie na twarzach kolegów, którzy patrzyli na niego jak na zwiastun nowego filmu z mega gwiazdą.

Janusz Szot



Poezja, czyli kłamstwo konieczne

*Gdy się wieczór nachylił, Pani, na mnie wejrzyj,
Niech z Twego zezwolenia znów wybuchnie pamięć.
Ta przestrzeń znaczy tylko, którą wiersz przemierzy
I to jest tylko moje, co w tym wierszu skłamię.*

Napisałem ten wiersz dawno, dawno temu. I teraz po przeszło pół wieku poczułem, że muszę się z niego wytłumaczyć.

Wyobrażam sobie, że dziewczyny zawodowo uprawiające striptiz mają z tego nie tylko pieniądze, ale i swojego rodzaju przyjemność. Jej źródło wypływa z zachwyconych oczu panów, ale także z krytycyzmu (bo przecież nie zazdrości) towarzyszących im pań. Oczywiście, jeśli panowie zabrali ze sobą swoje partnerki. W celu dokonania porównań?

Pojęcia nie mam o rozkoszach, których doznaje ekshibicjonista – no, chyba że się obnaża upalnym latem.

Poeta też jest ekshibicjonistą, tyle, że bardziej bezwstydnym. Obnaża bowiem nie ciało, ale coś bardziej intymnego – duszę. Wystawia na widok publiczny swoje uczucia. Ale że nawet największy bezwstydnik ma odrobinę skromności, to poeta kłamie: tu i ówdzie się zasłania. Uważny czytelnik, a nawet krytyk, szukają bowiem w wierszu jego autora, próbują odnaleźć okoliczności, osoby, daty i miejsca. A poeta, czyli zawstydzony ekshibicjonista, powiada: – to nie ja, to podmiot liryczny. I docieklivy krytyk wychodzi na głupka. Wprawdzie jest to dla poety wygrana połówiczna, bo podejrzenia zostają, ale dobre i to.

Jeśli ten wywód nie tłumaczy wyżej przytoczonego wiersza, to dobrze, tak miało być. Uważam się za bardzo wstydlwego ekshibicjonistę.

Poeta zasłania się, czyli w wierszu kłamie. Nie mam zamiaru obnażać innych poetów. Wiem, że kłamią, ale w liryce nie ma twardych dowodów. Są podejrzenia, a nie ma nic

piękniejszego niż podejrzenia graniczące z pewnością. Szanuję i podziwiam kłamstwa poetów, jednak z braku dowodów, będę udo-
wadniał kłamstwa na przykładach własnych wierszy. Ile w tych dowodach jest kłamstwa? Nic. Prawie nic. No, może odrobina.

Nie pamiętam, kiedy w naszych czasach wznowiono jakieś dzieło Marii Dąbrowskiej, jej twórczość powraca do nas chyba tylko w powtarzanej telewizyjnie ekranizacji „Nocy i dni”, choć nie jestem pewien czy współczesny widz wie, że najpierw była książka, a dopiero znacznie później film i serial. Zapomnieniu uległo też opowiadanie „Na wsi wesele”, którego akcja rozgrywa się w powojennej Polsce. Przypomniałem sobie to opowiadanie i napisałem wiersz. Ujawnię wszystkie zawarte w nim kłamstwa, ale najpierw – za co przeproszę – muszę wiersz w całości przytoczyć.

Sztacheta

*Działo się dawno, dawno temu na Mazowszu
ukochanym
Przez Broniewskiego i Baczyńskiego oraz
pomniejszych poetów.
Na wsi wesele – żeby przywołać Dąbrowską. Ale
Pani Maria
Nie była na mazowieckim weselu, więc nie
wiedziała,
Że co to za wesele, jak rodzina pana młodego nie
leje
Rodziny panny młodej albo odwrotnie. Nie
wiedziała też,
Że potem do tego żelaznego punktu uroczystości
Przylączy się ogół weselników bez względu na
przynależność
Plemienną. W użycie idą prawie wszystkie części
ciała,
A następnie podręczne rekwizyty.*

*Cóż to był za widok! Letnie, rozkwiecione
popołudnie,
Ulicówka w tumanach kurzu i pędząca przez nią
Wataha biesiadników! Dżingis Chan z zazdrości
W grobie się przewracał. Kłusowałem i ja,
bezzstronny,
Niezaangażowany po żadnej stronie świadek.*

*Była w tej gonitwie jakaś niepojęta, podobna do
kosmosu
Logika. Do tej pory zgłębiam kosmos i wiejskie
wesele.*

*Już i – nie wiedzieć skąd – pojawiły się kłonicze,
Zafurgotały w spracowanych rękach orczyki,
a nawet
Posłużono się chyba dyszlem. Ale przede
wszystkim
Użyto wyrwanych z płotów sztachet.*

*Opatrywano mnie w węgrowskim szpitalu.
Wylizesz się, chłopcze – powiedział sędziwy lekarz;
Parę centymetrów dalej, a miałbyś gwoździe w
czaszce.*

*Pozostał we mnie żal. Bo gdyby nie te parę
centymetrów,
Może byłoby inaczej. Może celnie zagwoździowany
Napisałbym genialny wiersz o Mazowszu, albo
lepsze niż Dąbrowska*

Opowiadanie pod tytułem Na wsi wesele.

*Miej to na względzie ludu Mazowsza i innych
regionów:
Alkohol nie sprzyja precyzji, co z kolei
niekorzystnie wpływa
Na wielką poezję polską.*

Tak było: w mazowieckiej wsi Pniewnik widziałem tę scenę. Upalny przedwieczerz, piaszczysta ulicówka, uciekający i ścigający uzbrojeni w sztachety i inne przyrządy perswazji; może nie był to tłum, ale kilka osób płci bardzo męskiej z pewnością tak. Obrządek ten towarzyszył niemal każdemu weselu. O samych weselach rychło zapomniano, ale o bijatykach pamiętano długo. I to jest prawda wiersza. Kłamstwo: oglądałem ten obraz sześćdziesięcioletnimi oczami, nie mogłem więc uczestniczyć w weselu i wszystko widziałem zza płota z wyrwanymi sztachetami. Nie byłem więc zagwoździowany. A rolę sędziwego lekarza z Węgrowska przydzieliłem lekarzowi z Kutna, którego poznałem kilka lat później. Doktor Jędraszko był bardzo stary, do osłuchania pacjenta nie używał stetoskopu, a drewnianej słuchawki w kształcie trąbki. Była to epoka przed tomografiami, USG, rezonan-
sami, ale doktor diagnozował bezbłędnie. To oczywiste: Maria Dąbrowska pisała o konfliktach wynikających z przekształceń powojennej wsi polskiej, a ja przywołałem pamięcią obrazek z wojennej wsi mazowieckiej – tak, i w czasie wojny odbywały się wesela, tak, i w czasie wojny Polacy nie tylko walczyli z okupantem, ale też tłukli się między sobą. Czyli mój wiersz z opowiadaniem wielkiej pisarki nie ma nic wspólnego. Jest więc nadużyciem wynikającym z kłamstwa.

Było to dawno, dawno temu, w czasach, kiedy w Polskim Radiu, nawet w I programie, pojawiała się literatura, a nawet poezja. Sie-
dzieliśmy letnią porą w jakimś ogrodzie za miastem i słuchaliśmy radia – bo akurat szły tam moje wiersze. Jednego z nich nie mogę odnaleźć, ale częściowo go pamiętam:

*Wkrótce pojedą na północny wschód,
zamieszkać w leśnym domku nad jeziorem...*

i dalej coś o tym, że pewnie będę się stawał ściółką leśną, uronionym ptasim piórem, częstką rybiego skrzela. A wierszyk kończył się słowami:

...ale i tak niczego nie zapomnę.

Bo sobie głupio pomyślałem, że skoro jest coś takiego, jak pamięć genetyczna, jeśli coś takiego po przodkach dziedziczymy, to i ja po sobie jakiś spadek pozostawię. Jakiś. Taki własny.

Dwudziestokilkuletni Waldek, Bogdan, czy jak mu tam było, wyśmiał mnie – wujek, co ty pieprzysz!

I dziś spotykam ludzi, z którymi nie da się rozmawiać. To jest ten osobliwy rodzaj homo

(Dokończenie na stronie 20)